

▶ którymi kierują dziekani, lecz nie są oni organem uczelni. Kompetencje dziekanów wynikają zatem wyłącznie ze statutu. Ustawa nie określa także sposobu powoływania dziekanów, wymieniając jedynie wśród kompetencji rektora powoływanie i odwoływanie osób pełniących funkcje kierownicze w uczelni (art. 23 ust. 2 pkt 6). To jednak statut określa funkcje kierownicze w uczelni (art. 34 ust. 1 pkt 6 ustawy). Ustawa nie definiuje funkcji kierowniczych. Wynika z niej jedynie pośrednio, że osobą pełniącą funkcję kierowniczą nie jest rektor (sic!). Jeżeli zatem statut uczelni do funkcji kierowniczych zalicza dziekana, to z ustawy wynika, że jest on powoływany i odwoływany przez rektora. Statut uczelni powinien zaś określać zasady powoływania i odwoływania osób do pełnienia funkcji kierowniczych (art. 34 ust. 1 pkt 7 ustawy). Skoro więc ustawa wprost nie zabrania uzyskania opinii o kandydacie na dziekana np. rady wydziału czy możliwości przedstawiania kandydatów na dziekana przez rady wydziałów (jak np. stanowi statut UJ), to w świetle art. 34 ust. 1 pkt 7 ustawy statut uczelni może takie wymagania wprowadzić. Przy wykładni ustawy należy

bowiem kierować się konstytucyjnie zagwarantowaną autonomią uczelni (art. 70 ust. 5 Konstytucji), potwierdzoną w art. 3 ust. 1 ustawy. Ograniczyć autonomię uczelni można jedynie w drodze ustawy. Interpretacja przedstawiana przez zespół monitorujący, jakoby ustawa zabraniała zasięgania przed powołaniem dziekana opinii np. rady wydziału o kandydacie, jest sprzeczna z ustawą, gdyż zmierza do ograniczenia autonomii uczelni. Nawet gdyby statut wymagał uzyskania pozytywnej opinii o kandydacie na dziekana, mieściłoby się to w pojęciu „zasad powoływania osób do pełnienia funkcji kierowniczych”. Nie byłby to zresztą nadzwyczajny przypadek, gdyż ustawa przewiduje sytuacje, w których powołanie na funkcję kierowniczą wymaga uprzedniej zgody (jak w art. 23 ust. 5). Wymaganie uzyskania pozytywnej opinii rady wydziału o kandydacie na dziekana niewątpliwie buduje autorytet dziekana i zapewnia mu możliwość sprawnego i efektywnego wykonywania powierzonych obowiązków. Zgadzam się zatem z prof. Andrzejem Białasem, że bez poparcia społeczności wydziału nie sposób skutecznie kierować wydziałem.

JERZY PISULIŃSKI

Dziekan WPIA UJ

Dwa zabobony

W tym roku minęło 25 lat od śmierci Józefa Bocheńskiego, dominikanina, filozofa, człowieka o barwnym życiorysie i równie barwnej twórczości. Rok 2020 został ogłoszony przez Senat RP Rokiem Bocheńskiego. Z tej okazji postaramy się przez cały rok publikować od czasu do czasu fragmenty *Stu zabobonów*, najpopularniejszego dzieła jego autorstwa. Zaczynamy od dwóch haseł. Pierwsze, *DZIENNIKARZ*, jest najbliższe nam, redaktorom. Umieszczamy je ku własnej przestrodze. Drugie, *SPRAWDZALNOŚĆ*, może być rozumiane jako ciekawy komentarz do rozwijającej się na łamach PAUzy dyskusji na temat pojęcia prawdy.

DZIENNIKARZ. Dziennikarstwo jest zawodem ludzi wyspecjalizowanych w tak zwanych środkach masowego przekazu, a więc w gazetach, tygodnikach, telewizji, radiu itp. Jak sama nazwa wskazuje, zadaniem środków masowego przekazu jest przekazywanie masom informacji. Stąd dziennikarz jest sprawozdawcą i niczym innym. Jest specjalistą w zbieraniu, przedstawianiu i podawaniu innym informacji. Jak długo pozostaje w tej dziedzinie, jego praca jest pożyteczna i nie można mu nic zarzucić. Ale w ciągu ostatniego wieku dziennikarze przywłaszczyli sobie inną funkcję, a mianowicie występują w roli nauczycieli, kaznodziei, moralistów. Nie tylko informują czytelników i słuchaczy o tym co się stało, ale wydają się im, że mają prawo pouczać ich, co powinni myśleć i czynić. A że ich poglądy są rozpowszechniane masowo, dziennikarze zajmują uprzywilejowane stanowisko, mają niekiedy istny monopol na pouczanie ludzi, co jest dobre, a co niedobre.

Wiara, że tak ma być, że dziennikarz ma prawo tak się zachowywać, że należy wierzyć, gdy nas poucza, jest jednym z typowych zabobonów współczesnych. Bo jeśli chodzi o pouczanie nas, dziennikarz nie ma żadnego autorytetu. Nie jest, jako taki, ani specjalistą w żadnej nauce, ani autorytetem moralnym, ani przywódcą politycznym. Jest po prostu dobrym obserwatorem i umie pisać, względnie mówić. Co gorzej, sam zawód dziennikarza jest dla niego samego o tyle niebezpieczny, że musi pisać o najróżniejszych rzeczach, o których zwykle niewiele wie, a w każdym razie nie posiada głębszej wiedzy. Dziennikarz jest więc niemal z konieczności dyletantem. Uważać go za autorytet, pozwalać mu pouczać innych ludzi, jak to się obecnie stale czyni, jest zabobonem.

Kiedy szukamy przyczyny szerzenia się tego zabobonu, wypada przyznać ze wstydem, że nie ma tu chyba innej niż dziecinne wierzenie, że wszystko co drukowane jest prawdziwe – a zwłaszcza jeśli jest drukowane pięknymi literami.

SPRAWDZALNOŚĆ. Cecha zdań, od których zależy ich sensowność. Zasada sprawdzalności brzmi: Zdanie ma sens wtedy i tylko wtedy, gdy istnieje metoda pozwalająca na jego sprawdzenie. Tak np. zdanie „moje okno jest teraz zamknięte” ma sens, bo dana jest razem z nim metoda sprawdzenia: mianowicie, jeśli spróbuję wyciągnąć rękę przez okno, napotkam na opór. Tak rozumiana zasada sprawdzalności jest analityczna i oczywista. Mówiąc: „zdanie p ma sens”, mamy właśnie na myśli, że p jest sprawdzalne.

Ale wokoło sprawdzalności narosło kilka zabobonów. Pierwszy, dziś bodaj już niepopularny, głosił, że sens zdania jest tym samym co metoda jego sprawdzania. Że był to zabobon, wynika już z tego, że aby zdanie mogło być sprawdzalne, musi już mieć (uprzednio) jakiś sens – bełkotu nikt sprawdzić nie potrafi.

Ale podczas gdy ten zabobon rychło upadł, inny okazał się znacznie trwalszy – mianowicie wierzenie, że sprawdzalność potrzebna do sensowności zdania musi być sprawdzalnością zmysłową i międzyosobową. Zmysłową – musimy móc sprawdzić zdanie, o które chodzi, wzrokiem, słuchem, dotykiem itd.; międzyosobową – przynajmniej dwoje ludzi musi być w stanie sprawdzić dane zdanie. Otóż tak pojęta sprawdzalność jest istotnie – pod warunkiem, że można ją rozumieć „z grubsza” – składnikiem metodologii nauk przyrodniczych, w których dopuszczalne są tylko zdania ustalone za pomocą obserwacji zmysłowej (a więc i międzyosobowej) oraz zdania uzasadnione za ich pomocą. Ale stosować ten postulat poza dziedziną nauk przyrodniczych jest zabobonem. Np. zdanie „ząb mnie boli” byłoby wtedy nonsensem, to jest nikt nie mógłby go zrozumieć – podczas gdy rozumiemy go wszyscy.

Nawet jednak w dziedzinie przyrodniczej zasada sprawdzalności ciasno pojęta natrafia na znaczne trudności – jest więc raczej metodologicznym ideałem niż ściśle wiążącym postulatem. Stosowanie jej poza naukami przyrodniczymi jest zabobonem.

Przyjemnie posmakować tej jasnej, klarownej polszczyzny (nawet niekoniecznie się ze wszystkim zgadzając) i odpocząć, chociaż na chwilę, od zalewającego nas codziennie bełkotu*.

Redakcja

* BEŁKOT, jedno z pierwszych haseł tej niezwykłej książki.